

JÓZEF PIŁSUDSKI

ROK 1863

„I G N I S”

ROK 1863



41.44.

JÓZEF PIŁSUDSKI

R O K 1863

*Odczyt wygłoszony d. 20.I 1924
w Warszawie*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”
E. WENDE i S-ka) SP. AKC. WARSZAWA 1924

Odbito 25 egz. na papierze czerpanym

Pierwszy — trzeci tysiąc

Prawa przedruku, przeróbek i tłumaczeń zastrzeżone



CM 313380

Druk. „Rola” J. Buriana, Masowiecka 11

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 107 /2011/ CM

Odczyt, jako forma wypowiedzania myśli, staje nieraz w sprzeczności z dokładnością i sumiennością w stosunku do treści. Sam czas, zwykle ograniczony, oraz konstrukcja, wymagana od przemówienia, są często ramami, dla których poświęcić trzeba ścisłość określeń, dostateczność dowodów i jasność argumentów. Dlatego też, wydając odczyt mój o powstaniu 63 r., prosiłem wydawców, aby zechcieli poprzedzić go wstępem, który, nie mając pretensji do wyczerpania treści, pogłębiłby jednak u czytelników odczucie wagi i znaczenia takiego właśnie a nie innego ujęcia przeze mnie tematu.

Mówiłem o legendach, w których chowaliśmy się wszyscy my, pogrobowcy ostatniego powstania naszego narodu. Wybra-

łem jako temat dwie główne legendy, te, które bodaj każdy człowiek musiał w siebie wchłaniać, tak bowiem były powszechne, działały tak sugestywnie, a zatem tak silnie skazyły przez swój fałsz nie tylko samą historję 63 r., lecz i dusze ludzkie następnych po powstaniu pokoleń.

Fałsz bowiem był tak jaskrawy, tak rzucający się w oczy, że tylko trwożliwa niechęć do powtórzenia eksperymentu dziejowego powstania wytłumaczyć zdoła ten dziwoląg psychiczny i myślowy.

Dwie te bowiem legendy uczuciowo, psychicznie były sobie sprzeczne, natomiast skwapliwie były łączone ze sobą, jako czynnik moralnego wychowania tysięcy i tysięcy ludzi, którzy się byli urodzili po powstaniu 63 r. Z jednej strony więc prowadzono dziecko lub młodzieńca gdzieś w gęstwą lasu, by go wzruszyć zapomnianą mogiłą powstańca, by mu szeptem w ukryciu, nieraz z wyrzutem mówić, jak jest niepodobnym do swych ojców, gdy kłótnią przysparza domowi kłopotu, gdy nieopatrzmem słowem

zaczepia jakiś autorytet parafjalny, czy powiatowy. A obok tego głośno i nieustannie stwierdzano słowem, wzruszaniem ramion, pogardliwem lub niechętnem burknięciem wszystko, co było drugą legendą, legendą głupoty, szaleństwa, często wprost legendą zbrodni roku 63-go i jego ludzi w stosunku do nas, następnych pokoleń.

Osobiście tak często słyszałem te dwie legendy z jednych i tych samych ust, mieszczące się swobodnie w jednej i tej samej głowie, że nie wiem, czy jest bardziej powszechny i jednolity sąd o jakimkolwiek wypadku historycznym, jak właśnie te zjednoczone a tak sprzeczne w sobie legendy o 63 r. Więc szanować—szaleństwo? Więc czcić—głupotę? Więc kochać—zbrodnię? Taki byłby wywód prosty i jasny z tego dziwoląga logiki uczuciowej i moralnej. Któż z nas nie nasłuchiwał się kazań z powołaniem się na rok 63, czy to o niebezpieczeństwie młodego piwka, które się nie wyszumiało, czy to o złośliwej sprzeczności, jaka istnieje zawsze pomiędzy rze-

czami szlachetnemi, a temi, które są rozumne i praktyczne.

Wcześniej też w mojem życiu, może przez przekorność mojej natury, ciągnęło mnie do prób rozwiązania tej dziwnej dla mnie sprzeczności, jaka istniała w stosunku do wypadków 63 r. W najdrobniejszym zakątku życia społecznego Polski, w każdej kwestji poważniejszej, gdym ją chciał badać genetycznie, znajdowałem olbrzymi wpływ wypadków 63 r. Tymczasem w odpowiedziach, rzucanych o tych wydarzeniach, spotykałem zawsze, z wyjątkiem bardzo nielicznym, tę potworną sprzeczność legendy, wyznawaną publicznie. Niekiedy w odpowiedziach brzmiała jakaś niema trwoga, która mi mówiła — „nie pytaj, jest to szlachetne i piękne, ale zarazem głupie, nienawistnie przeklęte i tak już oczywiście niepraktyczne“. Sąd ten, tak powszechny, zostawił swój głęboki ślad nie tylko w duszy tych, którzy nie byli świadkami powstania, lecz i w duszy wielu uczestników walk tej epoki. Spotykałem ich jeszcze w wielkiej ilości na wygna-

niu na Syberji, spotkałem ich i potem, i nie-
raz wyczuwałem w nich wyraźną niechęć
do rozmów na temat powstania, a często
jakąś nieuleczalną gorycz w stosunku do
samiych siebie, a jeszcze bardziej w sto-
sunku do nas, nowego po nich pokolenia.

Niechże te moje głębokie przeżycia
w związku z wypadkami 63 r., przeżycia,
które wzniciły we mnie namiętną potrze-
bę poszukiwania prawdy, usprawiedliwią
w oczach czytelnika odbicie tej namiętno-
ści, którą może odczuje w słowach i okre-
śleniach mojego odczytu. I niech na pod-
stawie sugestji i legend popowstaniowych
nie zechce zgóry przesądzać, że to, co
jest odczute, jest z zasady nierozumne lub
nierozsądne.

Starałem się oddzielić od siebie te dwie
legendy i ocenić ich istotną wartość na
podstawie pamiętników świadków i ucze-
stników powstania 63 r. Ograniczony cza-
sem i strukturą przemówienia, nie byłem
w stanie wyczerpać ogromnej ilości faktów,
które zbierałem był skrzętnie. Dla potwier-

dzenia też swoich chcę przytoczyć we wstępie kilka zdarzeń, podkreślających słuszność moich dowodzeń.

Naprzód rozbijałem legendę o „treuga Dei”, legendę zgody narodowej, przedstawiając, jak namiętными były ówczesne spory polityczne. Jako skutek tych namiętności ujawnić się musiała wielka chwiejność w tej najliczniejszej zwykle w społeczeństwach rzeszy, która nie bierze bezpośredniego udziału w sporach politycznych. Tę też chwiejność istotnie spotykałem przy wszystkich swoich studjach nad pamiętnikami. Stąd ogromna ilość wybitnych ludzi w powstaniu, którzy przychodzą do pracy i zajmują w tej pracy nieraz wysokie stanowiska dopiero w drugiej połowie 63 r., podczas gdy powstanie rozpoczęło się na samym jego początku.

Ba, w opisach spotykałem ot takich sobie, przeciętnych oficerów powstania, którzy w jego początku, służąc w armji rosyjskiej, nawet z powstańcami bezpośrednio walczyli.

Gdym zaś mówił o wielkim cudzie Rządu Narodowego i panowaniu pieczętki, nie chcąc psuć wrażenia przemówienia, nie dodałem, że w samym rządzie oraz w najbliższem jego otoczeniu spory były tak namiętne i tak silne, że wskutek nich następowały częste zmiany, i że w historii samego Rządu Narodowego nie brak nawet zamachów stanu. Niechybnie świadczyło to o braku wśród kierowników tych wielkich, którzy samą wielkością własną zdobywają autorytet i imieniem swoim znaczą epokę, lecz tem bardziej fakty te podkreślają ogromną siłę zbiorowej energii i moralnej chęci poddania się woli swego własnego polskiego rządu. Bo chyba nikt nie zechce tłumaczyć tego niezwykłego faktu przystosowaniem się do charakteru polskiego i koniecznością dla powagi rządu ukrycia go przed oczami ciekawych.

Z powodu zakreślonego sobie celu nie dotknąłem wcale jeszcze jednej legendy, która ciążyła nad naszemi losami bardzo

silnie, a której wyraźne ślady spotykałem jeszcze w nowej Niepodległej Polsce. Mówię o legendzie, że ją tak nazwę, włościańskiej, związanej z taką samą legendą carskiego i obcego demokratyzmu. Wyrządziła ona życiu naszemu po powstaniu głęboko sięgające, niezabliźnione poniekąd rany. Obszerny to temat, nad którym niejedna ślęczała głowa, z powodu którego niejedno męczyło się serce. Zasługuje ten temat na ściślejsze i dokładniejsze badanie niż to mogłem uczynić w odczycie, albo w niniejszym wstępie. Tutaj mogę zaledwie zlekka dotknąć tego tematu. Zwróć więc przedewszystkiem uwagę na jeden z wyników moich badań, do których doszedłem również na podstawie pamiętników, a mianowicie, że udział włościan w powstaniu zwiększał się z każdym miesiącem jego trwania. Można powiedzieć, iż z rozpoczęciem zimowej kampanji z roku 63 na 64 w wielu miejscach powstanie opierało się jedynie na włościanach i na ich życzliwej opiece nad oddziałami.

Spotkałem nawet próby przymusowego poboru do wojska przez oddziały po wsiach w Kieleckiem (ówczesnem województwie Krakowskiem), przyczem pamiętnikarz, sam oficer powstania, stwierdzał, że próby tego przymusowego poboru, robione siłą, nie czyniły z wziętego z poboru parobczaka złego lub niechętnego żołnierza. Następnie zaznaczyć chciałbym niedostatecznie szeroko znany fakt, że uwłaszczenie włościan na całej przestrzeni, objętej powstaniem, uprzywilejowało stan włościański pod względem materialnym w znacznie wyższym stopniu, niż to się stało w rdzennej Rosji. Jeżeli więc mówić o zmianach w strukturze socjalnej olbrzymiego państwa carów, to powstanie i konieczność konkurencji z dekretami Rządu Narodowego zmieniły tę strukturę znacznie poważniej u nas niż w Rosji. Walka o duszę włościanina i konkurencja carska z tradycjami powstania stanowiły przez cały czas panowania u nas Rosji niezwykle poważny czynnik życia politycznego i społecznego. Oddziaływanie

tego czynnika dałoby się zauważyć i dzisiaj. Na potwierdzenie zaś przytoczę zabawny już teraz na szczęście fakt, na który się natknąłem w początkach nowej Polski.

W samym końcu roku 1918 dałem urlop świąteczny jednemu z wyższych oficerów mego sztabu. Były już wtedy rozpisane wybory do pierwszego Sejmu Rzeczypospolitej. Gdy oficer ten w drugiej połowie stycznia roku 1919 wrócił z urlopu, pytałem go o wrażenia, jakie wypadki dziejowe wywarły wśród ludności wiejskiej jednego z zapadłych kątów t. z. Królestwa. Opowiadał mi o przeróżnych rzeczach, lecz dodał pomiędzy innemi, że włościanie zamierzają powstrzymać się od wyborów, gdyż się boją — bo, jak powiadali: „przyjdą tu kozacy to dopiero dadzą nam Polskę“.

Powstanie 63 r. wraz z całą jego epoką czeka dotąd jeszcze na swoją historję. Nieliczne prace, dotyczące tego tematu, są zaledwie próbami. Wobec olbrzymiego wpływu, jaki miały wypadki 63 r. na lo-

sy naszego narodu, jestem przekonany, iż teraz, gdy wszelkie trwogi przed próbą walki o niepodległość już chyba minęły, znajdują się historycy, którzy tej epoce poświęcą swoje siły i pracę. Gdy więc który z nich zechce rzucić łaskawie okiem na moje próby walki z legendami, będę szczęśliwy, gdy mu usunę z drogi w pewnej mierze najważniejszą, zdaniem mojem, przeszkodę. Nic bowiem trudniejszego dla historycznej prawdy jak ogarnąć wielkość epoki. Wielkimi były wypadki 63 r., wielkimi ich wpływy, wielkimi namiętności. wielkimi są również i braki źródeł dla studjów nad wydarzeniami, odchodzącymi gdzieś w dal przeszłości.

Lecz dla dziejów powstania 63 r. również wielkie znaczenie ma trwoga, oraz sprzeczność myśli i uczuć następnych pokoleń polskich w stosunku do swych ojców i dziadów z 63 r., a niema lepszej pożywki chorobotwórczej dla bakterij fałszu i legend, jak strach przed prawdą i brak woli.

Sulejówek, 31 stycznia 1924 r.

J. Piłsudski

Rok 63-ci stoi na przełomie naszych dziejów, stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przełomie dziejów staje epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą. Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 63-go roku. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3. Płonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego popowstaniowego Polaka: nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania. Pod wpływem wypadków roku 1863-go rodzi się inna Polska z innem ujęciem ży-

cia i jego zadań. Skutki sięgają tak daleko, że śmiało rzec można, że dziś jeszcze, gdy dziecko na świat przychodzi, jest obciążone rokiem 1863-im.

Rok wielki i, zdawałoby się, wielkim będąc, zasłużyłby musiał na to, na co wielkość każda zasługuje: na pracę historii; a jednak historia nasza rok ten omija ostrożnie, rzuca wzrok na ogniste cyfry jak gdyby trwożliwie, zostawiając nam tylko legendę. Każda wielkość tworzy legendę, idzie ona w parze z każdą wielkością, dążąc z nią do grobu, na jej grobie stoi jak wierzba płacząca, w grobie jeszcze strzegąc wielkości. Historia jednak odrzuca powłoki i skorupy legend, szuka prawdy życiowej, jądro prawdy wyłuskuje i okazuje przed oczy.

Habent sua fata libelli — mówi przysłowie — mają swe dziwne losy księgi. Mają też swoje dziwne losy i lata, i cyfry. Cyfry 1863-go roku musiały należeć do cyfr nieszczęsnych. Znacząc tyle dla nas, wając tyle w życiu narodu, nie miały

szczęścia w historii i literaturze, znajdują dla siebie tylko ich surogaty — legendy i anegdotyczne plotki. Więc kiedy dziś w wolnej Polsce i jej stolicy przemawiać mam o roku 63-im, legend nie chcę, prawdę dać wam chcę nie mojemu słowy; chcę, żeby groby przemówiły! I jeżeli mi się uda zrobić cud wskrzeszenia i w sali tej trysną żywe kwiaty z grobów, mówiąc ich bólami, dając zapach żywych kwiatów życia ówczesnego — szczęśliwy będę, albowiem sercem wgryzałem się niegdyś w prawdę, szukając w wielkim roku wielkości mojego narodu, szukając w wielkim ruchu wielkości mojej Ojczyzny.

Niech-że więc groby ozwą się wśród was, niech mówią swoim własnym językiem — nie legendy. My wszyscy pogrobowcy powstania znamy chyba doskonale jedną legendę o zgodzie narodowej, o bratniej zgodzie wszystkich, o rękach podanych ku braterskiemu uściskowi ze łąką sentymentu w oczach. Legenda szeptana nam wszystkim z wyrzutem, legenda ró-

zanego olejku, którym nieraz rodzimy brud usiłowała przytłumić, rzucona jak wzór dla niegrzecznych dzieci ojczyzny. Czy odpowiadała ona prawdzie? Jak wyglądały stosunki pomiędzy sobą ówczesnych stronnictw?

Było ich trzy — Wielopolczycy, Biali i Czerwoni. Trzy wielkie potęgi, co świat ówczesny polski poruszały i w wielkim dziejowym roku silnemi były. Pierwsze, nieliczne, lecz silne pracą, i wielkością a potęgą swego przodownika — margrabiego Wielopolskiego. Siła charakteru duża, stalowy człowiek z wielką wolą, rozporządzał niewielką liczbą pomocników i przyjaciół. Co czynił? Wykorzystując osłabienie najeźdźcy po przegranej wojnie krymskiej, grając na zmianach personalnych w otoczeniu nowego cara, pracował nad spolszczeniem urzędów w Polsce, usuwając resztki śladów epoki poprzedniego cara Mikołaja i jego faworyta, namiestnika warszawskiego Paskiewicza. Cały aparat rządowy stawał się polski, a odrodzona Szkoła Główna dotąd jest pomnikiem jego za-

sługi. Do społeczeństwa Wielopolski odnosił się z pogardą, żądając jedynie posłuszeństwa. Posłuch zaś wymuszał gwałtownymi środkami i w niczem nie różnił się od najeźdźców, którzy użyczali mu w tym celu rąk i aparatu. Główne siedlisko Białych, Towarzystwo Rolnicze, zamknął gwałtem, poszczególnych ludzi ścigał i szykanował nie gorzej od Paskiewicza. Czerwonych nienawidził jak wrogów osobistych, więził, katował, szpiegował na wspólnkę z policją carską. Nieraz całą wielką siłę charakteru zużywał na nienawistne szykanowanie jednych i drugich z pogardzanych stronnictw. Odpłacano jemu i jego stronnictwu tem samem. Wyklęty był z narodu, nienawidzony może więcej od najeźdźców Moskali, utożsamiany z nimi we wszystkich ówczesnych publikacjach.

Gdy wybuchło powstanie, gdy w lasach grzmiały strzały karabinów i strzelb, śpiewano po obozach znaną dotąd pobudkę powstańczą „Stój, carze, stój, nie ustał bój”. W piosence tej z zapalem może największe



szym, z błyskiem nienawiści w oczach, śpiewano strofkę „Bo mu (carowi) margraf projekt podał, jak ugasić żar“. „Margraf“ to Wielopolski, któremu dla większej pogardy zruszczono tytuł margrabiego. Walczono więc i bito się z carem i z margrabią. Gdzież więc jedność narodowa? Przecież to istotna wojna domowa w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Biorę inne stronnictwo. Mamy więc dużą, obejmującą wielką ilość Polaków partję Białych. Na czele czczona postać Zamojskiego. Jakaż tam prawda? Niech groby mówią. Otwieram księgę najnowszą, najbardziej przetrawioną, pisaną drżącą ręką starca, schodzącego do grobu. Ręka, prowadzona przez rozum, co ból przetrawił, co szukał krótkiej, możliwie nie drażniącej prawdy o roku 63-im. Pół-pamiętnik, pół-historja Józefa Janowskiego, członka Rządu Narodowego od chwili wybuchu powstania aż do upadku ruchu.

Otwieram tę księgę na przygotowanym okresie: mowa o Białych, o stosunku ich

do tych, co wojnę 63 roku poprowadzili, o stosunku do tych, którzy stanowią treść i istotę wybuchu powstania 63 roku: „Całą organizację Komitetu Centralnego traktowali (Biali) pogardliwie, nazywając ją robotą smarkaczy i głupców“. Krótkie określenie, wcale nie mówiące o treuga Dei.

Niech inny grób przemówi. Jest znany pisarz polski, ceniony dotychczas przez wielu. Uśmiech na twarzy wykwita, gdy się mówi o Klemensie Junoszy, o tym bazarzu, o tym cudownym obserwatorze życia. Żył on w tamtych czasach, należał do organizacji Białych i zostawił swoje wspomnienia.

Przed samym wybuchem powstania, (o ile pamiętam w styczniu 63-go r.) dyrekcja Białych nakazała swoim komisarzom na prowincji wybadać stan umysłów. I oto Klemens Junosza, jako komisarz dyrekcji, bada swoją okolicę. Kogo tam bada, gdzie szuka poznania życia? Swobodnie, w wesołym prawie tonie pisze: przedstawicielem Czerwonych w miasteczku był apte-

karz, znany głupiec, do którego nie warto było chodzić. Lawy bulgoczą wewnątrz ziemi — jutro płonąca lawa wyleje się za dotknięciem właśnie czerwonym, lecz nie warto z nimi gadać. Do kogóż iść? Do starozakonnego izraelity, kupca miejscowego, żeby u niego zasięgnąć języka o Czerwonych i od niego dowiedzieć się o stanie rzeczy. Treuga Dei — gdzieś ty jest?

Idźmy dalej, inny grób mówi. Oksiński na cudownej karcie swoich pamiętników opowiada o początkach powstania. Sam jest Czerwonym z ówczesnej szkoły wojskowej w Cuneo — było to coś w rodzaju szkół strzeleckich przed wojną 1914 r. Wysła go naczelnny wódz powstania Zygmunt Podlewski i daje mu instrukcję. Za tydzień ma się dokonać wybuch, i Podlewski mówi: „Posyłam cię na stracenie, tam panują Biali, tam Polaków niema“. Do kogóż posyła on Oksińskiego, żeby robić powstanie? Do tajnej organizacji moskiewskiej „Ziemi i Woli“, te adresy mu daje,

pogardliwie traktując „nie — Polaków“ Białych.

Ciekawa i ładna jest scena, która w tym pamiętniku jest przedstawiona. Oksiński przyjeżdża w Kaliskie, nie mając danych o tych nielicznych Czerwonych, którzy gdzieś w morzu białych głów toną. Jak on ich szuka? Jak silnemi były spory, jak pulsowały one żywo, wskazuje pewien charakterystyczny sposób, w jaki odnalazł tych Czerwonych. Oksiński idzie do oberży, gdzie zebrana miejscowa, że tak rzekę, inteligencja spór polityczny toczy. Oksiński przygląda się zebrany i widzi wśród nich jednego zaperzonego, zaczerwienionego osobnika. Odgaduje, że musi to być ten, co reprezentuje znikomą mniejszość i czuje się skrzywdzonym, a więc to jest Czerwony — i trafia bez pudła. Tak — to Czerwony, bo go w oberży w sporze zaczepiono, pobito i skopano moralnie.

Oto początek powstania. W Białej Podlaskiej Rogiński, młody człowiek, przygotowuje wybuch, organizując miasteczka

i okoliczne zaścianki. Dzień wyznaczony na zbiórkę, miejsce wskazane. Rogiński siedzi u siebie i czeka. W wilgę wybuchu, w nocy, spiskowi mieszczanie przed wyjściem na bój śpieszą do kościoła, aby pogodzić się z Bogiem. Idą gremjalnie do spowiedzi, aby oczyścić się z grzechów. Księża rozgrzeszenia nie dają, mówiąc: „Idziesz na mord, na rozbój, rozgrzeszenia niema, absolucji niema“! Rogiński widzi jak ważny trud, całe dzieło jego chwiać się zaczyna. Zdobywa się po chwili wahania na energję, rzuca się do kościoła, aby wymusić rozgrzeszenie u księży nakazem, krzykiem, groźbą wyroków śmierci. Żąda, żeby rozgrzeszenie dano. Gdzie jesteś o ty — treuga Dei? W przybytku Bożym wojna domowa się toczy.

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło, lawa z wulkanu trysnęła na ziemię, jesteśmy w obozie jednego z wielkich — Langiewicza. Przyjeżdżają do niego Polacy i ofiarują pieniądze, żeby tylko rozpuścił obóz do domu, żeby dał spokój szaleńczemu dziełu.

A gdy Langiewicz odpycha tę propozycję, idą do władz moskiewskich, dając znać o rozkładzie obozu, o jego sile. Gdzież jesteś, Izawa treuga Dei?

Idziemy do drugiego obozu. Oto stary wilk, stary weteran trzydziestego roku, znany w dziejach Czachowski, twardy człowiek, bezwzględny w stosunku do podwładnych, przy boku jego stale bat. Batem wymusza posłuszeństwo, trzyma ostro w ręku wojsko, zmusza do pracy, bezwzględny dla siebie, bezwzględny dla wszystkich. Oto opis rozmaitych wizyt Czachowskiego. Do skromnych, białych, białych nie tylko pod względem zewnętrznego wyglądu, dworaków przyjeżdżając, batem walił właścicieli, nakazując rekwizycje, karząc opornych w stosunku do Rządu Narodowego. Bata z ręki nie wypuszczał. I gdzież jesteś, ty treuga Dei?

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło w różnych miejscach, pożogi, miasteczka się palą, rannych dobijają. W Warszawie zbierają się Biali, ściągają z różnych stron do sto-

licy resztki dyrekcji, resztki Białych niezatrzymanych przez powstanie na prowincji. Dzielą się na grupy. Jedni się wahają, inni wraz z Wielopolczykami idą do władz moskiewskich, prosząc, żeby jak najprędzej we krwi zdusić szaleństwo, nie biorąc za nie odpowiedzialności, szukając ucieczki od brzemienia odpowiedzialności, ciężącej nad krajem.

Idziemy dalej do tych wielkich, do tych, których sam ruch na czoło odpowiedzialności wysunął. Centralny Komitet Narodowy na pierwszym posiedzeniu, ogłaszając siebie jako Rząd Narodowy, zdecydował oddać władzę w ręce dyktatora. Pomimo sporów wewnętrznych, pomimo niechęci osobistych wybrano jednego. Tym jednym był Mierosławski. Co wiemy o Mierosławskim? Ależ on — to wojna domowa. Legendy osnute koło Mierosławskiego mówią: Polska nie będzie wolna zanim, — nie przypominam sobie tego określenia, ale zdaje mi się, że jest tam mowa o śmierci ostatniego księdza. Legenda jego wróży wojnę domową.

Idźmy do drugiego ówczesnego dyktatora — Langiewicza, znajdziemy to samo, w mniej może jaskrawej formie. Pomimo, że jest on wysunięty na dyktatora w Krakowie przeciw Mierosławskiemu przez mętne, niezbyt zgodne z przeciętną etyką intrygi, w tajemnicy przed Rządem Narodowym zostawia z obawy przed tym „czerwonym diabłem“, w listach, pisanych już w więzieniu, po upadku swej dyktatury, zwroty i określenia, polemizujące z Białymi. Czyni im zarzuty, szeroko używa znanych w owe czasy i namiętnie przez Białych zwalczanych haseł, słów i wywodów.

Pozwólcie, panowie, abym przytoczył osobiste wspomnienia. Znałem jednego z wielkich powstańców, z którym byłem w szczerzej, serdecznej przyjaźni. Był to znany Bronisław Szwarce, członek Centralnego Komitetu, aresztowany przed samym wybuchem powstania. Gdy przychodziłem do niego z teorjami o treuga Dei, ze łzawą legendą, machnął na mnie niecierpliwie ręką i z ust jego sypały się wy-

razy żółci, wyrazy pogardy, wyrazy żartu, żartu trawiącego serce.

Gdy badam epokę, gdy poruszam te dzieje, spotykam przede wszystkim prowokację, prowokację polską. Margrabia Wielopolski branką wymusił wybuch powstania. Władze moskiewskie cofnęły się, nie chciały stosować drażliwego środka branki, odkładały ją na coraz inne terminy; margrabia Wielopolski tę brankę na władzy moskiewskiej wymusił. A więc — mamy prawie wojnę domową. Gdzież jesteś, treuga Dei łzawa? Gdzie ty, legendo? Gdy groby mówią, znikasz jak złuda.

Gdy badam tę epokę i porównywan ją z innemi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, biło w nich to, co w nich żyło: pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywan, to znam tylko dwie epoki podobne do tej treuga Dei. Jedna, gdy palec Boży dotknął naszej ziemi i wulkany trysnęły, żeby z nas Herku-

lanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu jak w mogile zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa. A druga, to epoka, gdy wśród wulkanów świata ziemia nasza na nowo nad potoki lawy gorącej się dźwigała, gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane, z pod popiołów żywemi się stawały — to epoka nasza.

Legenda o treuga Dei, o pokoju narodowym, zniknąć musi przy dotknięciu prawdy historii. W owe czasy nie było jej w Polsce.

Jest druga legenda, legenda sentymentu, mgielka łzawa, unosząca się nad grobami, pokrywająca je welonem czarnym, żałobnym. Wszystko owite jakąś łezką, łzą żyje wszystko. Z tą legendą nie warto się rozprawiać. Gdzie widzimy, żeby człowiek, co strzela, płakał, gdzie widzimy, żeby bój toczono we łzach i smutku? Obrazy realne dają inną postać: sute czamary, buty palone, wąs podkrecony,

zalatne spojrzzenie, taniec wesoły wkoło ogniska, jakaś sentymentalna nutka brzmi we dworze — to mazur ostatni, gdzie panna Krzysia w tańcu łezkę roni. Takim było życie ówczesne, życie walk, życie niepokojów. Szło się na śmierć swobodnie, szło się w tany ze śmiercią równie wesoło, jak w tany z dziewczyną.

Istnieje jeszcze legenda smutna, a tak potworna...

Więc małość, więc głupstwo, więc tylko szaleństwo? I ta epoka wielka, która latami tkwi w sercu polskim czy cieniem, czy cierniem krwawiącym, co życie kilku pokoleń wielkiego narodu trawi, jest tak potwornie mała, jest tak śmieszna, tak głupia? Ta legenda małego rozsądku wzorów epoki 63-go roku nam nie zostawia. Uśmiech pobłażliwy, i tyle. Legendę tę znamy. Jesteśmy może bardziej dziećmi tej legendy, niż innej.

Gdy palec Boży ziemi dotyka, na równinach wyrastają góry i dymią, lawa gorąca wewnątrz ziemi bulgoce. I ziemia

matka w bólu, we wstrząśnieniach rodzi ludzi, ludzi wielkości. Gdzie ich imię? W wielkiej epoce wielkość być musi. Ziemia palcem Bożym dotknięta, lawa przez rok cały tryskała pożogą, płonęły serca ludzkie, płonęli ludzie, płonęły sioła. Wielkości, gdzież twoje imię?

Pamiętam tragedję swoją, gdym jej szukał i gdym, napotykając legendy, jedną za drugą odrzucał.

Została legenda, że to tylko było szaleństwo. Przerazenie mnie ogarnęło: wielka epoka wielkości niema, więc ziemia przeklętą jest przez Boga, i usta zbieleły we twodze szepczą: może koniec? A ta legenda straszna szerzyła się jak zaraza, jak epidemia wśród pokolenia pogrobowców powstania 63-go roku. Szukałem jak opętanym, nie mogłem się z tem pogodzić.

Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margrabia! Chciałem go kochać za wielkość. bo miał on dumę i godność swego narodu. Widzę wspaniałą scenę: pałac zimowy w ogromnym Petersburgu,

liczny zastęp dygnitarzy czeka na wejście cara, czekają—stojąc, pokornie i cierpliwie—margrabia siedzi. Gdy zwrócono mu uwagę, by powstał, gdyż majestat rosyjski ma wejść w tej chwili, odpowiedział: „przed królem swoim dopiero powstanę”. Nie był niewolnikiem, wielka siła, wielka duma. Padł zduszony obręczą bagnetów z jednej i z drugiej strony, padł pod siłą pogardy, gnieciony często potwarzą nienawiści. Nie ma wielkości, wielkości szukać trzeba było gdzie indziej. Wielkości, gdzież twoje imię? Szukałem wszędzie. A tamci też szukali i wysuwali na czoło ludzi, jakich znaleźli. Mamy dwóch dyktatorów. W tem bezwiednem posłuszeństwie palcu Bożemu szukano ludzi i wysunięto dwóch: jeden to dyktator Mierosławski, drugi dyktator—Langiewicz. Niewątpliwie więksi niż inni, niewątpliwie ludzie nie mali. Zaplątali się obaj w sieci dyktatorskie dyktatury prawie operetkowej, dyktatury na przestrzeni strzału dwururki myśliwskiej, dyktatury nieżywej, martwo urodzonej, krwawej farsy,

śmiesznością otaczającej te postacie. Wielkości niema. Szukałem gdzie indziej. Najstarszy wiekiem z przedstawicieli ruchu Agaton Giller cofnął się w ostatniej chwili. Dziennikarz, przekręcał dla potrzeb publicysty orzeczenia i słowa naczelnego wodza Podlewskiego. Szukałem gdzie indziej: ba, są więksi! Oto silna postać ze stali wykuta: Jarosław Dąbrowski, siła wewnętrzna olbrzymia, przewidziany przez czerwonych naczelnny wódz, miota się za kratą, uwięziony przed wybuchem siedzi w cytadeli, za kratą gorączka czynu go trawi, rzuca gorączkowe silne plany, przerzuca je za kratę, dyktuje nakazy. Ręce ma skrępowane, za kratą duch żywy, ciało martwe.

Zastępca jego Podlewski, piękna rycerska postać, pół-arystokrata, pół-konspirator i demagog. I tu wielkości niema. Szukam wśród innych, silnych, pierwszorzędných ludzi epoki. Wielkości, gdzie twoje imię? Są inni: młody Bobrowski szybko w oczach się zjawia. Widzimy, jak ten młody człowiek w jedną godzinę dojrzewa siwizną

doświadczenia, siwizną pracy. Ba, już go wypychają na czoło, już ma wielki wpływ. Ledwo się zjawia w Warszawie, już jest powołany do pracy najwyższej, i... przez szuję w pojedynku zostaje zabity.

Wyrzuca potem historia na końcu większą postać Traugutta. Gdzie on jest, gdy palec Boży ziemi polskiej dotyka? Razem z Białymi, siedząc w puszczy litewskiej, waha się, obawia się. Wielkości niema. To kpiny z nas, potomnych. Wielkości, gdzież twoje imię?

Więc legenda głupstwa, legenda szaleństwa, legenda nonsensów historycznych, tak krwawo szarpiąca wnętrzości narodu, napawająca ludzi słabością, dysząca upokorzeniem, straszliwym uśmiechem żalu, i zimnego rozsądku! Wielkości, gdzie twoje imię? Gorączką trawiony szukałem. W bojach, w dziejach wojny nie znalazłem tego. Niech groby mówią, niech dadzą kwiat żywy ze siebie, niech wielkość epoki powstania wzór nam zostawi, niech nam poda naukę.

Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiłem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i z szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?

Szukałem gorączkowo. Wielka epoka wielkich ludzi nie dała, lub większym z tej doby niezwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach.

W roku 63-im istniał taki symbol, który silnie, ba nieraz wszechwładnie panował

nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego.

Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnem pismem, a u spodu pieczęć. To był symbol siły. Cóż robiła pieczęć, co robili ludzie stojący za tą pieczęcią?

Dla charakterystyki pracy pieczętarki i ludzi, strzegących jej powagi i znaczenia w narodzie, przytoczę przedewszystkiem parę wspomnień o stanie prac przygotowawczych przed wybuchem powstania. Jeden z wielkich, Miłkowski (Jeż), jeszcze przed wybuchem powstania, przyjechał konspiracyjnie do Warszawy i był zdumiony potęgą organizacji. Cała poczta konna, którą jechał, a która zastępowała wówczas nieistniejące prawie koleje, była w rękach organizacji. „Urzędnik naszego Rządu jedzie, konie zaprzęgać, niech inni czekają”. „Nasz Rząd jedzie!” Trąbka pocztyljona gra i w lesie wpada w tony mazurka Dąbrowskiego. Cała poczta pracuje, pracuje dla swego Rządu, gdy oficjalnie istnieje

inny, z którym ma się toczyć walka zbrojna. Stary mój przyjaciel Szwarce opowiadał mi chwilę swego aresztowania przed powstaniem. Miał przy sobie papiery rządowe, czuł, że za chwilę będzie wzięty, i cóż zrobił z papierami? Skoczył do pierwszego lepszego sklepiku, rzucił je na ladę i krzyknął: „Papiery Komitetu Centralnego, Papiery Rządu!” Dziś sprzedanoby te papiery na giełdzie! Wtedy przechowano je z szacunkiem i oddano komu należało. Jak wielką musiała być już wtedy spoistość społeczeństwa, jak silną chęć dobrowolnego poddania się przymusowi moralnemu, gdy mogły przewyciężyć przymus materialny, nieledwie cielesny, ciężący tak silnie wtedy na wszystkich Polakach.

Spójrzmy teraz, jak wygląda praca pieczęci i jej ludzi w okresie najwyższej jej potęgi. Oto Marjan Dubiecki, co krwią nieledwie napisał pracę cenną, co skrzętnie zbierał dane, jak Centrum pracuje, opisuje, jak w Warszawie, zalanej wojskiem, były dwa rządy: jeden, ten w stali zakuty, pa-

nował oficjalnie, drugi ten, co ulegać musi, ten, co po kątach się chowa, ten niewidoczny, toczący wielką walkę, trwającą rok cały. Jakże on pracuje? Gdym przerażony, stary wyga konspiracyjny, przerzucał tę pracę, wybuchnąłem śmiechem: znów same błazeństwa! Masa pisaniny, regulacja drobnych zjawisk życiowych, uwzględnianie najdrobniejszych pytań, biura, dykasterje. Gdzie? — w zalanej wojskiem Warszawie, gdzie patrole ciągle krążyły po ulicy, gdzie człowiek bez latarki na ulicę wieczorem prawa nie ma wyjść, bo musi twarz swoją szpiegom oświecić. W tych warunkach biura, ministerstwa, piszące olbrzymie foljały, składające pisemne raporty tajne, biura obleżone, tłumy ludzi, nieledwie ogonki, wchodzące kolejno do samej centrali władz tajnych. Śmiać mi się chciało, staremu konspiratorowi, gdy to czytałem. Poco to robili, naco ta praca, poco ta śmieszność?

A jednak śmiech mi zamarł na ustach, gdym w studjach swoich nad wspomnieniami, nad literaturą pamiętnikową raz po

raz natrafiał na skutki tej dziwnej, prawie nieprawdopodobnej pracy ludzi, stojących poza pieczęcią władz centralnych. Wracam do wspomnień Junoszy. Z „Białego“, szukającego prawdy o „Czerwonych“ u izraelity, przekształcił się on na komisarza Rządu Narodowego — bodaj w Łęczyckiem. Jest posiadaczem pieczętki, a raczej bibułki z pieczętką — symbolem swej władzy rządowej. Na bibułce jest wypisana jego nominacja. Posiada drugą bibułkę czystą z odcisniętą na niej pieczętką. Ma tam wpisać, według swego uznania, nazwisko i imię swego następcy, gdy już nie będzie w stanie prowadzić dalej swej pracy. W pamiętnikach, pełnych humoru i żywej a trafnej obserwacji, jaskrawo występują szczegóły pracy i mnóstwo drobiazgów przepracowywanych starannie w centrum. Całe życie bacznie jest regulowane, często w drobnych, codziennych sprawach. Wyczuwa się to, co się robi. Czyni to widzialną i namacalną rękę rządu dla wszystkich mieszkańców kraju, pomimo tego, że Rząd Narodowy jest bez-

imienny, pomimo że panuje inny rząd, rząd przemocy i najazdu, pomimo że wojna się toczy w kraju, wojna z całą surowością swoich praw względem ludzi i ich życia. Żywo w pamięci mi stoi organizacja łączności i opieki nad formującymi się w powiecie siłami zbrojnymi Polski. W każdej stajni dworskiej stoi osiodłany dyżurny koń, obok dyżurny chłopak stajenny. Biegnie wieść ostrzegająca, alarmowa, skądś wyruszyło wojsko rosyjskie. Chłopiec dosiada żrebca i pędzi naprzelaj borami, polami do następnej wyznaczonej stacji, wieść wyprzedza ruchy konnicy nieprzyjacielskiej, dopada do wyznaczonego celu z ostrzeżeniem.

Szukajmy innych obrazów. Czasy niepokojne, kraj przebiegają bandy ludzi uzbrojonych i walczących ze sobą. Jak zwykle w takich chwilach życie dla tych, co broni nie noszą, jest ciężkie, jak zwykle zdarzają się nadużycia. Na niektóre z nich biegną skargi do Rządu. Znam z pamiętników jeden z takich wypadków. Jeden z dowódców małego oddziału — mówiąc

językiem bardziej nowoczesnym — zbandyciał. Pędzi rozkaz do dowódcy danego okręgu Czachowskiego. Rząd nakazuje ukarać śmiercią bandytę, a Czachowski, nie znając ani jednego z członków tego Rządu, nie znający nawet ich nazwisk, sam ścigany przez nieprzyjaciela, czyni specjalną wyprawę, aby winnego odnaleźć. Dopada go i po odczytaniu wyroku każe go natychmiast wykonać.

Oto znowu dalej opisy pracy policji Rządu Narodowego w stolicy kraju w Warszawie. Praca dwóch Janków — białego i czarnego. Gdy się przerzuca te karty, wyda się może, że się czyta bajkę z tysiąca i jednej nocy.

Czytam jakiś pamiętnik z Łęczyckiego. Opowiada jakiś oficer, instruktor, który tam oddział zbierał i ćwiczył, jakby pokój panował dokoła. Kurjer przybiega z ostrzeżeniem: wysłane jest na nich wojsko. Chowają więc broń i stają do pracy przy żniwie, by wrócić zaraz potem do pracy żołnierza, do ćwiczeń. Ileż szalonej spoistości

woli u takich ludzi, ile wzajemnej pomocy. Ile szalonych wysiłków ducha trzeba było dla dokonania bodaj małej rzeczy. Co czyni ta spoistość? Cytuję z tegoż Junoszy: oficer rosyjski, zarządzający powiatem, został przeniesiony na inne miejsce, wyjeżdża z rodziną. Chce rodzinie zapewnić bezpieczeństwo w podróży po kraju, gdzie wojna się toczy, chce legalnie w tym kraju przebywać. Czego szuka? szuka przepustki rządu innego, nakaz jego własny nie wystarcza, jest inny rząd, nasz, polski, ten go ochroni.

Biorę na świadectwo naszego nieprzyjaciela Berga, jego „Zapiski o powstaniu“. Co tam znajdujemy? Opis jednej ze scen może służyć jako pouczenie w teraźniejszych czasach. Przyjeżdża świeżo mianowany urzędnik rosyjski do Warszawy. Staje w hotelu, puka ktoś do drzwi. Nakaz płatniczy zapłacenia podatków. Od kogo? W czyjem imieniu? W imieniu Rządu polskiego. I urzędnik moskiewski płaci podatek rządowi tajnemu, rządowi pieczęci.

Idziemy dalej. Gdzieś w zapadłym Sandomierzu jest sobie taki warjat, oficer rosyjski, zakochany w koniu. Koń to jego życie. Nagle konia mu kradną, niema konia. Życie biednego człowieka zatrute, zabrakło mu przyjaciela, zabrakło mu życia. Szuka, rozsyła patrole. Rząd przemocy ofiarowuje mu swoją pomoc. Konia jak niema, tak niema. Oficer rozpacza, odchodzi od zmysłów. Mądry izraelita radzi mu: „Pan nie tam szuka, pan potrzebujesz szukać u rządu. — U jakiego rządu? — Nie u tego, jest inny, oni znajdują, jak się pan do nich zwróci“. I oficer zwraca się przez żyda, płaci podatek, opłaca stempel podania i po trzech dniach koń zostaje mu zwrócony.

Policja narodowa wciska się do biur moskiewskich, śledzi więzienia, otacza opieką prace Rządu Narodowego, prace tajne. Ileż niezapomnianych klechd, ileż niezapomnianych legend wówczas powstało, na które po latach trzydziestu stale się natykałem w mej pracy wśród robotników warszawskich. Żyły one życiem kwiatów, swym

cudnym zapachem budząc zachwyt nad tą wielką pracą ludzi, pracą ogromnej ilości wysiłków, ogromną ilością woli, by rząd swój własny zrobić silnym.

Przenieśmy się na chwilę tam, gdzie powstanie najdłużej trwało. Jeszcze w 64-ym roku dowodził ksiądz Brzózka ludem podlaskim. Ze wszystkich dzielnic polskich powstanie było tam najsilniejsze. Na czele organizacji rządu stanął tam niejaki Rawicz, były Biały. Zorganizował on szybko pracę rządu, wciągnął do organizacji wszystko, co tylko żyło. Zginął na szubienicy.

Niech mi wolno będzie z tych wspomnień wybrać może najoryginalniejsze, wydające się czemś nieprawdopodobnem, a świadczące o tej ogromnej potędze sugestji, którą posiadała silna władza Rządu Narodowego. Dotyczą one licznego udziału żydów w powstaniu. Organizacja wówczas wszędzie była oparta na pewnym schemacie. W miasteczku każdym był burmistrz chrześcijanin i pomocnik burmistrza żyd. I pamiętam ze wspomnień jednego mło-

dego żydka, któremu najniebezpieczniejsze ekspedycje poruczano, który przewoził wszystkie tajne rzeczy, który masowo broni dostarczał, i który, jako o jedyną łaskę, prosił, by mu jakieś najmniejsze odznaczenie dano od rządu polskiego. W swoim życiu napotkałem tradycję tej pracy. Podczas wojny japońskiej, w pracy konspiracyjnej, zabłądziłem do Siedlec. Polecono mi, jako adres, pewną fabrykę, która właściwie była zwyczajnym warsztatem farbiarskim, i gospodarz, poczciwy grubasek, miał mnie przyjąć. Zjawiłem się u niego również jako wysłannik takiej pieczęci, jako człowiek bez nazwiska, o którym wiedział jednak, że jest czemś więcej, wysłannikiem jakiejś władzy. Przyjął więc mnie z należną czcią. Po dłuższej rozmowie, gdy już załatwiłem u niego wszystkie sprawy, uległ ku mnie jakiejś nadzwyczajnej sympatji i przed odjazdem zwrócił się do mnie: „Nie możemy się tak rozstać, niech ja na pożegnanie podzielę się z panem największą pamiątką“. I z pod pułapu swojej fabryczki

wyciągnął, zawinięte w mnóstwo papierków, dwie małe bibułki. Widniały na nich pieczęcie Rządu Narodowego. Pytam się, skąd to pochodzi. Opisuje mi historję. — Przeszły te bibułki przez piekło katorgi syberyjskiej i wróciły potem do Polski. Taki to właśnie pomocnik burmistrza — żyd, wróciwszy z katorgi, w nowem życiu nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, bo od jednego brzegu odpłynął, a do drugiego nie przypłynął, w kurczach i bólach konając, tę świętość, zachowaną z katorgi, ojcu tego rzemieślnika oddał. — Teraz ten spadkobierca tradycji pracy Rawicza dzieli się ze mną tą świętością, jak opłatkiem; sobie zostawił jedną kartkę, a mnie drugą na życie późniejsze oddał.

Pieczątka nakazywała nieraz ciężkie, niezdolne obowiązki dla tłumów. Znam te smutne prawa wojny, znam je z opowiadań ludzi, którzy przez te najcięższe obowiązki przechodzili. W mieście ogłoszono stracenie powstańca. Warczą bębny ciemiejcy, żołnierze stoją rotami, prowa-

dzą skazańca. Nakaz rządu brzmi: „Wy tam być musicie, śmiało oczami patrzcie w oczy skazańcowi, niech umiera wśród swoich“. Cisza zalegała ulicę, gdy warczały bębny. Patrzano w oczy śmierci, mówiono skazańcowi: idziesz na śmierć, ale my jesteśmy z tobą.

To cud siły, cud Rządu Narodowego, cud jakiejś wielkości. Gdym karty historii Rządu Narodowego przerzucał, pytałem siebie, gdzie przy tej cudownej treuga Dei był spór, gdzie podziały się te namiętności, które przy wybuchu powstania tak żywo grały? Czy Czerwoni i Biali, jedni i drudzy, przebrali się w kolor różowy i różaną wodą zlewali siebie ku uspokojeniu własnemu? Nie! ludzie zostali ludźmi, a z nimi namiętności i ich siła. Umieeli się przezwyciężyć, a przy tem zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie, godni swojej epoki.

Wielkości, gdzie twoje imię?

Rok 63-ci dał wielkość nieznana, wielkość, co do której i teraz świat wątpi,

gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej,—nie treuga Dei szui zbiorowej, nie treuga Dei tchórzów, lecz treuga Dei ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymi olbrzymiej pracy moralnej.

„Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety —
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza“.

I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 63-go roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych Rządzie, który, nieznany z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

Gdy palec Boży znów dotknął naszej ziemi, gdy nad nią znów lała się lawa ognista, gdy ziemia nasza dudniła pod miljonem armat, gdy płonęła od ognia, gdy uderzały oczy lśniące w słońcu bagnety, gdy skrzyło się niebo od pocisków, gdy roty za rotami, gdy pułki za pułkami mieszały się ze sobą, by lepką swą krwią zlać ziemię naszą, byłem między niemi. Pamiętam chwilę jedną, która, jako symbol, rzuciła mi raz jeszcze cienie przeszłości. W samym początku wojny szedłem drogą, gdzie stoi książęca rezydencja wielkiego margrabiego. Wielkie zamczysko opustoszałe, prawie zrujnowane, ogromny dziedziniec zarasta chwastem. Gdzie sala zamczyska — obozowisko. Byłem tam i patrzyłem: cienie przeszłości wracają. Gdym oczy na chwilę zamknął, wielka postać margrabiego stanęła przede mną. Opasłe cielsko, oparte na kiju ze wzgardliwym twarzy wyrazem. I znów głos jego ozwał się: „Znowu to samo — lecz i ty, i ci twoi, jacyście mali, mała wasza nikczemność, małe bohaterstwo.“

Polska trudy ciężkie przeżywa, nieraz
Polak miota się w trwodze

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali,
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali —
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Boga pokaże i przed Nim powali.

— wtedy wiedźcie: z mogił, z grobów 63-go
roku żywy cień powstaje, cień wielkości
epoki, cień Rządu Narodowego i wtedy
mogły zawołają głosem straszliwym: —
„Idź i czyn!”



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313380



000-313380-00-0

